

Poniższym artykułem PISMO PG rozpoczyna prezentację uczelni świata. Bardzo prosimy pracowników oraz studentów, którzy wyjeżdżają na staże, konferencje i studia, o dostarczanie tekstów i zdjęć przedstawiających odwiedzane ośrodki akademickie. Jesteśmy przekonani, że informacje, doświadczenia i wrażenia uzyskane podczas zagranicznych wyjazdów spotkają się z zainteresowaniem naszych Czytelników. Przekazywane materiały będziemy publikować w kolejności ich składania.

*Zespół Redakcyjny PISMA PG*

## Uniwersytet w Glasgow

Historia Uniwersytetu Glasgow (The University of Glasgow) sięga połowy XV w. Z inicjatywy szkockiego króla Jakuba II w 1451 r. papież Mikołaj V ogłosił bullę upoważniającą biskupa Turnbulla z Glasgow do stworzenia uniwersytetu w tym mieście. Zorganizowano go na wzór Uniwersytetu Bolońskiego. W ten sposób mała Szkocja miała w XV w. już dwa uniwersytety (pierwszy założono w 1411 r. w St. Andrews). Wkrótce miał dojść trzeci, tym razem w Aberdeen (King's College, 1495). Po Reformacji utworzono jeszcze dwa kolejne: Town College w Edynburgu (1582), poprzednik dzisiejszego Uniwersytetu Edynburskiego, oraz Marischal College w Aberdeen (1593). Ten ostatni w 1860 r. połączył się z King's College i w ten sposób powstał Uniwersytet Aberdeen.

Glasgow jest dziś ważnym ośrodkiem akademickim Szkocji. Obok tego założonego w połowie XV w., istnieją tu dziś jeszcze Uniwersytet Strathclyde (Strathclyde University) oraz Uniwersytet Kaledoński (Caledonian University).

Przez pierwsze dwa wieki Uniwersytet Glasgow nie miał stałej siedziby, a wykłady prowadzono w Chapter House, należącej do tutejszej, zachowanej do dziś katedry. W XVII w. uczelnia otrzymała nowy budynek na High Street, określane przez ówczesnych mieszkańców Glasgow jako "główny ornament miasta". Znaczący rozwój Uniwersytetu nastąpił w XVIII w., kiedy to miasto bogaciło się, początkowo na handlu z koloniami, a potem także jako ważny ośrodek rozwijającego się przemysłu brytyjskiego. W 1870 r. Uniwersytet otrzymał nową siedzibę w zachodniej części miasta na Gilmorehill. Główny gmach zaprojektował w gotyckim stylu sir George Gilbert Scott. Dziś ten szacowny gmach, często spotykany na widokówkach, otacza wiele nowoczesnych budynków, w tym jedenastopiętrowa Biblioteka Uniwersytecka, która posiada prawie półtora miliona tomów, zajmujących półki o łącznej długości 48 km.

Uniwersytet Glasgow może poszczycić się wieloma wybitnymi osobami, które tu studiowały i pracowały. Wśród nich są m.in.: filozof i ojciec klasycznej ekonomii politycznej Adam Smith (1723-1790); wybitny fizyk William Thomson, lord Kelvin (1824-1907), który został tu profesorem filozofii naturalnej w wieku lat 22; profesor medycyny i pionier antyseptyki Joseph Lister (1827-1912); jeden z współtwórców telewizji John Logie Baird (1888-1946); laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii (1921), odkrywca radioaktywnych izotopów Frederick Soddy (1877-1956). Słynny wynalazca James Watt (1736-1819) pracował tu jako wytwórca i konserwator przyrządów pomiarowych.

Słynny lekarz nadworny z XVIII w. William Hunter (1718-83), jeden z największych kolekcjonerów swej epoki, przekazał Uniwersytetowi Glasgow liczne zbiory sztuki, monet, eksponatów naukowych i medycznych, które stały się podstawą znanego na cały świat Hunterian Museum & Art Gallery, mieszczącego się w głównym gmachu Uniwersytetu.

Obecnie Uniwersytet Glasgow posiada dziewięć wydziałów:

Humanistyczny (Arts), Teologiczny, Prawa i Finansów, Medycyny, Nauk Przyrodniczych (Science), Inżynierii (Engineering), Nauk Społecznych (Social Sciences), Weterynarii (Veterinary Medicine) i Pedagogiki (Education); w ich skład wchodzi ponad 100 katedr (departments). Uniwersytet zatrudnia ponad 5,5 tysiąca pracowników (w tym 1542 nauczycieli akademickich i 742 prac. badawczych) i jest największym pracodawcą w Glasgow. Kształcą się tu ponad 16 tys. studentów na studiach dziennych i 3 tys. na różnych kursach; 57% stanowią kobiety; 12% zaczęło swe studia powyżej 21. roku życia. Oprócz Szkotów z zachodniej Szkocji (45% ogółu studentów) spotkać można studentów z całego świata; 10% pochodzi spoza Wielkiej Brytanii i przybyło z ok. 80 krajów. W skład najwyższych władz Uniwersytetu Glasgow wchodzi: kanclerz, rektor (tradycyjny przedstawiciel studentów), pryncypał (odpowiednik naszego rektora) i sekretarz uniwersyteckiego trybunału (Secretary of Court).

28 lutego br. studenci Uniwersytetu Glasgow wybrali kolejnego, sto osiemnastego rektora. W głosowaniu wzięły udział 2204 osoby, co stanowi 11% ogółu studentów. Tym razem, po czterech turach głosowania, rektorem wybrano absolwenta Uniwersytetu Glasgow, Grega Hemphilla, znanego telewizyjnego aktora komediowego. 4 maja rozpoczął on swoją trzyletnią kadencję.

Brytyjskie instytuty naukowe podlegają okresowym ocenom. W ostatnim rankingu z 1996 r. z instytutów Uniwersytetu Glasgow najwyższą, bardzo rzadko przyznawaną ocenę 5\* otrzymały: Nauki Komputerowe (Computing Science) oraz Urbanistyka (Urban Studies). Ocenę 5 otrzymały ponadto: Biochemia, Inżynieria Elektroniczna i Elektryczna, Genetyka Molekularna, Polityka oraz Instytut Europy Środkowej i Wschodniej (Central & East European Studies). Wartość dorocznie uzyskiwanych grantów sięga 70 milionów funtów. Instytut Biomedycyny i Nauk o Życiu jest największy w Europie pod względem liczby zatrudnionych pracowników.

Uniwersytet Glasgow jest jednym z członków założycieli UNIVERSITAS 21, międzynarodowego związku uniwersytetów stawiającego sobie za cel wprowadzanie ogólnosiwiatowych standardów kształcenia na poziomie wyższym.

Oprócz dbałości o wysoki poziom przekazywanej studentom wiedzy teoretycznej, w wielu dziedzinach duży akcent kładzie się także na więź teorii z praktyką. Szczególnym przykładem mogą tu być zajęcia z etyki biznesu prowadzone dla studentów ostatniego roku finansów. W ramach tych zajęć słuchacze spotykają się z zaproszonymi osobami, np. ofiarami fatalnych eksperymentów farmakologicznych, oglądają filmy pobudzające do dyskusji na temat etyki w biznesie, a ostatnio grupa ochotników spędziła pewien czas w... więzieniu, by przekonać się na własnej skórze, jak może wyglądać finał np. afery finansowej. Daje to też okazję do kontaktów z więźniami skazanymi za przestępstwa gospodarcze, co jest swoistą lekcją etyki biznesu. Prowadzący te zajęcia Dr Ken McPhail twierdzi, że noc

spędzona w więzieniu może dla przyszłego finansisty być wielce pouczająca i bardziej utrwali się w pamięci niż najciekawszy nawet wykład prowadzony w uniwersyteckim audytorium.

Co 50 lat Uniwersytet Glasgow święci rocznicę swego powstania. Tak jest również w tym roku. Z tej okazji przyznawane są m.in. honorowe doktoraty. Otrzymują je najczęściej akademicy, ale także uznane osobistości z innych dziedzin. Na liście tegorocznych laureatów znajdują się m.in.: Karol książę Walii; prof. Pier Ugo Calzolari, rektor Uniwersytetu w Bolonii, na którym wzorowano się, zakładając w 1451 r. Uniwersytet Glasgow; pryncypał i wicekanclerz McGill University, założonego w 1823 r. przez absolwenta Glasgow Jamesa McGilla, który wyemigrował do Kanady i został najbogatszym człowiekiem w Montrealu; Christiane Nusslein-Vollhard z Max Planck Institut für Entwicklungsbiologie w Niemczech; golfiarz Collin Montgomerie.

Jednym z bardziej spektakularnych wydarzeń roku jubileuszowego jest bieg na trasie Rzym – Glasgow. Prof. Neill Garrod postanowił przebiec tę trasę, jaką przebyła w 1451 r. bulla papieska zawierająca zgodę na założenie uniwersytetu w Glasgow. Start nastąpił 23 kwietnia, a „profesor–biegacz” oczekiwany jest w Glasgow 20 czerwca. W tej uroczystej podróży towarzyszy mu kawalkada samochodów prowadzonych przez innych pracowników Uniwersytetu, którzy zmieniają się co dwa tygodnie, po czym wracają do pracy.

Innym wydarzeniem będą instalacje pięciu amerykańskich artystów, organizowane w różnych historycznych miejscach Glasgow, pod wspólnym tytułem *Contemplation on the Spiritual* (Kontemplacja Duchowości), a nawiązujące do związków sztuki i religii na przestrzeni dziejów. Kuratorami tego przedsięwzięcia są Ken Mitchell z Glasgow School of Art i prof. David Jasper, dziekan Wydziału Teologicznego.

Kulminacją obchodów 550. rocznicy założenia Uniwersytetu Glasgow będzie *Celebration Weekend* 13–15 lipca. Szczególnie interesująco zapowiada się zjazd byłych absolwentów i ich spotkanie z obecnymi pracownikami instytutów, na których kiedyś studiowali.

\* \* \*

W ramach programu obchodów 550. rocznicy założenia Uniwersytetu Glasgow odbywa się wiele konferencji, seminariów i uroczystości. W dniach 3–6 kwietnia spotkali się tu filozofowie z różnych krajów, by wziąć udział w konferencji *The Scottish Enlightenment in its European Context* (Oświecenie szkockie w kontekście europejskim). Piszący te słowa miał przyjemność przedstawić referat *Filozofia Adama Smitha w polskich publikacjach*.

Korzystając z okazji, odwiedziłem także Instytut Europy Środkowej i Wschodniej, gdzie znajduje się Zakład Języka Polskiego. Jeden z etatów wykładowcy tego języka (Stepak Chair in Polish) ufundował milioner polskiego pochodzenia Jan Stepek.

W broszurze informującej o językach nauczanych na Uniwersytecie Glasgow (m.in. celtycki, francuski, włoski, a także języki słowiańskie) przeczytałem m.in.: „Czy lubisz wyzwania? Czy pobudza cię perspektywa odkrycia nieznanego? Jeśli tak, to język polski jest tym, czego szukasz. Egzotyczny, ale nie ezoteryczny język polski przelamuje stare polityczne granice i zyskuje na znaczeniu w postkomunistycznej rzeczywistości, w jakiej obecnie żyjemy”.

*Stefan Zabieglik  
Wydział Zarządzania i Ekonomii*

## SZMINKA

Był ścisk – do kolejki wskoczyłem,  
Że jadę byłem wprost rad,  
Przy wyjściu – co zobaczyłem?  
Na płaszczu szminki był ślad.

Pamiętam ten tłok, niewygodę,  
I zapach pamiętam tej damy,  
Pamiętam dzień i pogodę,  
Gdy rzekła – przepraszam – ścieramy?

Innym znów razem na balu,  
A po północy już było,  
Jakieś uroczę kociątko,  
Kołnierzyk mi szminką zbrudziło.

Pamiętam ten bal, to spojrzenie,  
Jej suknię złotą – balową,  
A z kołnierzykiem zdarzenie,  
Zemstą było wzorową.

Kiedyś na imieninach,  
Policzki miałem w usteczka,  
Czerwone, po kilku winach,  
Zrobiła je anioł dziewczynka.

Pamiętam te imieniny,  
I litry białego wina,  
To było z mojej przyczyny,  
Gorąca też była dziewczyna.

Ktoś powie: ja też to znam!  
No, właśnie o to mi chodzi,  
Bo chciałem przypomnieć wam,  
Jak szminka wspomnienia rodzi.

## Uśmiechaj się

Chcesz? – przyniosę ci małą biedronkę,  
Albo motyla w żółtej pelerynce,  
Tylko uśmiechnij się bardzo cię proszę,  
Tak jak przystało to czynić dziewczynce.

Albo przyniosę ci jeden płatek róży,  
Albo duży bukiet pachnącego bzu,  
Żebyś się tylko zawsze uśmiechała  
Nawet na poduszce leżąc podczas snu.

Bo kocham twój uśmiech i zębów perelki,  
Bo kocham ten wdzięczny grymas na twarzy,  
A ty podziękuj za to Panu Bogu,  
Że tym bogactwem ciebie obdarzył.

*Marek Biedrzycki  
Dział Współpracy z Zagranicą*

Poniższy artykuł przygotowany został jako referat na zajęcia z przedmiotu obieralnego „Historia filozofii na tle cywilizacji europejskiej”, prowadzonego przez dr. hab. Stefana Zabieglika w semestrze letnim 1999/2000 dla studentów IV roku Wydziału ETI.

## Natura człowieka w ujęciu Ericha Fromma

Erich Fromm (1900–1980) urodził się we Frankfurcie nad Menem, studia odbywał na uniwersytetach we Frankfurcie, Monachium i Heidelbergu. Jego umysłowość kształtowała się pod wpływem filozofii niemieckiej, a zwłaszcza teorii psychoanalizy stworzonej przez wiedeńskiego psychiatrę dr. Zygmunta Freuda (1856-1939). Po studiach podjął pracę w berlińskim Instytucie Psychoanalizy.

Po dojściu Hitlera do władzy Fromm wyemigrował do Meksyku, gdzie został dyrektorem Instytutu Psychoanalizy. Następnie przeniósł się do Nowego Jorku i wykładał psychologię na tamtejszym uniwersytecie. Fromm uważany jest – obok K. Horneya i H. S. Sullivana – za jednego z twórców neopsychologii, który to nurt upatruje głównych źródeł nieświadomych procesów emocjonalnych, mających wpływ na zachowanie człowieka, nie w jego biologicznej naturze (jak sądził Z. Freud), lecz w kontaktach z innymi ludźmi. Podstawowe założenia filozofii Fromma można sprowadzić do dwóch następujących tez:

- ♦ jednostka jest wytworem społeczeństwa;
- ♦ w społeczeństwie przemysłowym człowiek podlega procesom alienacji, czyli wyobcowania.

Liczne publikacje E. Fromma podejmują głównie zagadnienia z dziedziny socjopsychologii i religioznawstwa. Najbardziej znane z nich, to: *Ucieczka od wolności* (1941, wydanie polskie 1970), *Niech się stanie człowiek* (1947, wyd. polskie 1994), *Zapomniany język* (1951, wyd. polskie 1972), *Zdrowe społeczeństwo* (1955), *Psychoanaliza i religia* (1956), *O sztuce miłości* (1956, wyd. polskie 1971), *Mieć czy być* (1976, wyd. polskie 1989).

Esej *Wojna w człowieku - anatomia ludzkiej destruktywności* (War within Man - the Anatomy of Human Destructiveness), na podstawie którego dokonano niniejszego opracowania, ukazał się w 1973 r. w Stanach Zjednoczonych, ale – jak niektóre inne prace Fromma – nie mógł być opublikowany, z przyczyn ideologicznych, w Polsce Ludowej. Został on jednak wydany w drugim obiegu w podziemnej oficynie w Gdańsku. Skromne wydanie broszurowe ukazało się u nas w 1993 r. W następnym roku *Wojnę w człowieku* wydała Agencja Wydawnicza Jacek Santorski & Co.

### Człowiek – owca czy wilk?

Od niepamiętnych czasów trwa spór filozoficzny: jaka jest natura człowieka – dobra czy zła? Czy rodząc się, człowiek jest istotą dobrą, miłującą życie i potrafiącą kochać, czy też jest z gruntu zły i skłonny do destrukcji? Czy rodzi się on jako owa *tabula rasa*, a jego dobre albo złe skłonności są tylko wynikiem wpływu warunków, w jakich się rozwija? Czy też każdy nosi w sobie jakiś „gen” dobra albo zła?

Wielu uważa, że ludzie są owcami; inni zaś twierdzą, że w człowieku dominuje natura wilka. Ci pierwsi argumentują, że łatwo na ludzi wpłynąć, zmusić ich, by robili, co im się każe,

nawet gdy jest to skierowane przeciwko nim samym. Według zwolenników takiej koncepcji – jak pisze Fromm – ludzie „idą za swoimi przywódcami na wojny, które przyniosą im tylko zniszczenie, uwierzą w każdy nonsens, o ile zostanie on przedstawiony dostatecznie energicznie i poparty siłą”. Gdyby ludzie byli owcami, to historia ludzkości nie byłaby historią wojen.

Można by więc sądzić, że człowiek jest z natury wilkiem. Przecież ani Hitler ani Stalin sami nie wymordowali milionów istnień ludzkich. Mieli do dyspozycji zastępy ślepo im posłusznych „wilków”, które robiły to za nich chętnie, a nawet z przyjemnością.

Można odnieść wrażenie, że zdecydowana większość ludzi to wilki w owczej skórze, którą stanowią zasady moralne i konwenanse, hamujące ujawnienie prawdziwej natury. Gdy tylko zostajemy pozbawieni tych hamulców, ukazuje się prawdziwy obraz człowieka - bestii żądnej krwi i pałającej chęcią zadawania bólu.

A może, po prostu, mamy do czynienia z mniejszością wilków i większością owiec. Może jest tak – by użyć słów Fromma – że „wilki chcą zabijać, owce poddawać się. Od tej chwili wilki mają owce, by je zabijać, mordować i dusić, a owce godzą się na to nie dlatego, że im to odpowiada, ale dlatego, że chcą się poddawać”.

### Biofile i nekrofile

W *Wojnie w człowieku* E. Fromm wyróżnił dwa typy ludzi:

1. **biofile** – czyli tacy, którzy kochają życie;
2. **nekrofile** – którzy kochają śmierć.

Założył też, że – poza skrajnymi przypadkami – jednostka może przejawiać obie te tendencje. Człowiek zasługuje na miano nekrofila, jeśli posiada więcej cech charakterystycznych dla ludzi przejawiających umiłowanie śmierci, niż cech świadczących o umiłowaniu życia. I na odwrót, człowiek posiadający chęć życia przewyższającą umiłowanie śmierci, swojej lub cudzej, może być nazwany biofilem.

Nekrofilem jest osoba, którą fascynuje wszystko, co jest związane ze śmiercią, czyli zwłoki, gnicie, ekskrementy, brud. Ulubionym tematem jej rozmów są choroby, pogrzeby i śmierć. „Klasycznym przykładem czystego, typowego nekrofila – pisze Fromm – był Hitler. Zniszczenie fascynowało go, a zapach śmierci był dla niego przyjemny.” Nekrofile lubują się w przeszłości. Są zimni i zdyscyplinowani. Ekscytuje ich przemoc, czyli zabijanie, upokarzanie, pozbawianie kogoś własności. Stosowanie przemocy nie jest u nich aktem jednorazowym, lecz stanowi sposób życia. Dla nekrofila nie jest istotna różnica płci. Dla niego istnieją tylko dwie kategorie – zabijający i zabijani. Kocha tych pierwszych i zarazem nienawidzi drugich. Osoba nekrofilna traktuje życie w sposób mechaniczny. Chce posiadać nad wszystkim kontrolę, stąd zamienia innych w zwłoki albo w żywe rzeczy, którymi może kierować. Pociąga ją ciemność i noc oraz wszystko, co jest skierowane przeciw życiu. Jest uporządkowana, obsesyjna i punktualna.

Jednak nie wszystkie te cechy występują u nekrofila jednocześnie i w tym samym stopniu. Każda z nich może przejawiać się w sposób bardziej widoczny u jednych, a mniej u drugich; niektóre zaś mogą w ogóle nie występować.

Esencją orientacji biofilnej jest miłość życia przeciwstawiona miłości śmierci. Fromm uważa, że stanowi ona pierwotną tendencję wszystkich żywych organizmów. Ich wrodzoną cechą jest bowiem żyć i ochraniać swoje istnienie oraz walczyć ze śmiercią. Powoduje to, że istoty miłujące życie mają skłon-

ność do integrowania się. Dążą one do łączenia się w pary i rozmnażania. Pociąga je życie i proces tworzenia. Wolą budo- wać niż trwać w niezmiennym stanie. Pragną wpływać po- przez rozum, miłość i własny przykład. Dla biofila dobre jest to, co służy życiu, a złe to, co prowadzi do śmierci. Sumienie biofilnej osoby nie wymusza powstrzymania się od zła, ani nie zmusza do czynienia dobra.

### **Współzależność między obiema orientacjami**

Czyste formy wymienionych wyżej postaw występują nie- zwykłe rzadko. Jak pisze Fromm, „większość ludzi posiada mieszaninę orientacji nekrofilnych i biofilnych; ważne jest to, która z orientacji przeważa”. Jeśli jednak naturalną dla czło- wieka ma być postawa biofilna, to powstaje pytanie: w jakich warunkach może dojść do ujawnienia się tendencji nekrofil- nych?

Według Fromma, najważniejszym warunkiem rozwoju mi- łości życia u dziecka jest „bycie z ludźmi, którzy kochają ży- cie”. Rozwojowi biofilii sprzyja ciepły, uczuciowy kontakt z innymi, wolność, niestosowanie gróźb, wolność w kształtowa- niu osobowości i pożytkowaniu talentów. Całkiem przeciwstaw- ne warunki sprzyjają natomiast rozwojowi nekrofilii. Należą do nich: dojrzewanie wśród ludzi miłujących śmierć, lęk, ogra- niczenie wolności czy warunki, które czynią życie pełnym ruty- ny.

A zatem, rozwojowi orientacji biofilnej sprzyjają warunki umożliwiające swobodny rozwój indywidualności, natomiast wszelkie ograniczenia powodują rozwój tendencji nekrofilnych. Niewątpliwie ma na to wpływ także ogólna sytuacja życiowa jednostek. Niedostatek, także w sensie psychologicz- nym, powoduje, że większość energii witalnej jest tracona na obronę życia, a szczególnie na walkę o odsunięcie groźby głodu. In- nym ważnym aspektem jest niesprawiedliwość, rozumiana jako wyzysk jednej klasy społecznej przez drugą. Uniemożliwia to rozwój jednostek należących do klasy wyzyskiwanej i ich do- stęp do dziedzictwa ludzkości. Jeśli dana jednostka staje się instrumentem służącym do osiągnięcia celów innego czło- wieka, pogłębia to jej frustrację i powoduje większą intensywność rozwoju orientacji umiłowania śmierci. Dlatego dla rozwoju orientacji biofilnej niezbędna jest wolność, nie tylko w sensie politycznym, ale przede wszystkim jako wolność do tworzenia, budowania, myślenia i podejmowania ryzyka. Wymaga to od jednostki aktywności i odpowiedzialności, w przeciwieństwie do bierności i przedmiotowości, które wywołują rozwój osobo- wości nekrofilnej. Fromm twierdzi, że „miłość życia rozwine się w społeczeństwie, w którym bezpieczeństwo i podstawowe warunki godnego życia nie są zagrożone, w społeczeństwie spra- wiedliwym, w którym nikt nie może być środkiem dla osiągnię- cia celów innych osób, i wolnym, w którym każda jednostka ma możliwość bycia czynnym i odpowiedzialnym członkiem spo- łeczeństwa”.

### **Zastrzeżenia**

Fromm przyznaje, że kwestią dyskusyjną w przedstawionej teorii natury ludzkiej jest pytanie: czy człowiek, który zabija, aby żyć, jest kierowany miłością do życia, czy też jest zafascy- nowany śmiercią?

Autor *Wojny w człowieku* uważa, że w takiej sytuacji mamy do czynienia z innym rodzajem agresji. Typowy nekrofil, to miłośnik śmierci, niszczenia i tortur. Natomiast zabić w obro- nie życia zdolna jest, paradoksalnie, tylko jednostka bardzo je szanująca. Trudno jest jednak zakwalifikować ten czyn jedno- znaczenie, ponieważ jeśli nawet zabijanie ma służyć życiu, ni- gdy nie jest dobre.

Innym problemem, na który wskazuje Fromm, jest destruk- cja, jako wyraz braku samorealizacji. Człowiek chce być bar- dziej aktywny, niż bierny. Ale gdy stanie się bezsilny wobec warunków, które uniemożliwiają jego rozwój, próbuje zwrócić na siebie uwagę nie poprzez tworzenie, ale przez niszczenie. „Niszcząc życie – pisze Fromm – przekracza je; w akcie niszczenia udowadnia sobie, że góruje nad tym, czego nie mógł stworzyć: nad życiem. (...) Fascynacja śmiercią i torturą jest reakcją człowieka, któremu nie udało się żyć; jest to wyraz za- zdrości kaleki, który wolałby raczej widzieć zniszczenie życia, niż stanąć twarzą w twarz wobec swojego kalectwa”. Wynika stąd, że taka przemoc jest wynikiem chęci działania, ale nie możliwości samorealizacji. Wobec tego, takiego rodzaju agresji też nie można jednoznacznie zakwalifikować. Nie można bo- wiem stwierdzić, że jest przejawem nekrofilii, gdyż w tym wy- padku wynika ona z czysto biofilnej chęci działania i wprowa- dzania zmian.

Jeszcze innym przejawem agresji, który – zdaniem Fromma – trudno zakwalifikować jednoznacznie, jest przemoc wobec „obcego”. Skłonność ta spotykana była często u ludów prymi- tywnych. Dla tubylców „obcy”, członek innego plemienia, nie- rzadko oznaczał osobnika nie w pełni ludzkiego, z którym się oni nie identyfikowali. W tym wypadku zabijanie ludzi może być odczuwane tak, jak zabijanie zwierząt. Poza tym dochodzą tu jeszcze inne aspekty, takie jak radość ze zrzeczości i zwycię- stwa, a nie samego zadania śmierci.

Czyny sadystyczne mogą być nieraz motywowane dążeniem do poznania obiektu poprzez rozłożenie go na części. Fromm twierdzi jednak, że „jakakolwiek gloryfikacja przemocy jest nie tylko niebezpieczna, jest kłamstwem. Umieranie nigdy nie jest przyjemne, chyba że w przypadku perwersyjnego nekrofila, a zabijanie nigdy nie prowadzi do realizacji tego, co ludzkie. Zabijanie jest zawsze gwałceniem tego, co ludzkie, zarówno u tego, który zabija, jak i u zabijanego”.

### **Przemoc w epoce nuklearnej**

Dotychczasowe wojny uzasadniano obroną przed atakiem, korzyściami gospodarczymi, wyzwoleniem, sławą, odnową spo- sobu życia. Jak jednak uzasadnić wojnę nuklearną? Nie ma z niej przecież żadnych korzyści, żadnej sławy ani wyzwolenia. Pozostaje tylko zniszczenie. Mimo to cały czas prowadzone są zbrojenia, a ludzkość dąży do samozagłady. Fromm pyta: „Dła- czego ludzie, którzy mają tyle motywów do życia, lub co naj- mniej takie można mieć wrażenie, biorą trzeźwo pod uwagę zniszczenie wszystkiego?” I odpowiada na to: „ludzie nie boją się całkowitego zniszczenia, ponieważ nie kochają życia, wielu jest nawet zafascynowanych śmiercią”.

Skąd bierze się taka postawa społeczeństwa? Przecież po- wszechnie uważa się, że dzisiejsza kultura preferuje daleko idącą wolność jednostki. Wolność myśli, wolność słowa, a czasem nawet wolność orientacji seksualnej. Nigdy wcześniej nie ist- niała kultura z takim umiłowaniem przyjemności i z takim dą- żeniem do podniecenia. Ale, niestety, nasza cywilizacja – jak sądzi Fromm - nie jest ukierunkowana na życie. Naszym głów- nym celem jest produkcja oraz zdobywanie rzeczy. Ludzie trak- towani są jak liczby i zamieniają się w żywe rzeczy. Bardziej kochamy urządzenia mechaniczne, niż żywe istoty. Ludzie in- teresują się innymi jako reprezentantami zachowań rejestrowa- nych przez urzędy statystyczne – ich wspólnymi, a nie indywi- dualnymi cechami. Administruje się nimi, jakby byli rzeczami. „Ale człowiek nie jest stworzony po to – pisze Fromm – aby był rzeczą; gdy staje się rzeczą, obumiera; wtedy staje się de- speratem i pragnie zabić wszelkie życie”.

Widać wyraźnie, jaką rolę w naszym życiu odgrywa zabijanie. Media pełne są opisów zniszczeń, brutalności i sadyzmu. Dlaczego? Ponieważ to najbardziej podnieca masy. Najbardziej ekscytuje ludzi oglądanie lub czytanie o zabijaniu; bez znaczenia jest tutaj, czy jest to morderstwo czy wypadek. „Ludzie żyjący w takim systemie – twierdzi Fromm – muszą nieuchronnie coraz bardziej oddalać się od życia i coraz bardziej odczuwać fascynację śmiercią. Nie są tego świadomi. Uznają dreszcze podniecenia za radości życia i żyją w iluzji, że żyją w pełni tylko wtedy, gdy mają wiele rzeczy w posiadaniu i użytkowaniu.”

Autor Wojny w człowieku uważa, że za odbudowę społeczeństwa powinni wziąć się ci, którzy reprezentują tradycje religii i humanizmu. Zarzuca im, że nie mówią głośno, iż nie ma bardziej śmiertelnego grzechu, niż umiłowanie śmierci i potępienie życia. Należałoby skłonić nasze najlepsze umysły – naukowców, artystów i nauczycieli – by nauczali, jak wzbudzać i rozwijać miłość życia. Jak powstrzymać miłość do gadżetów, która przynosi zysk tylko korporacjom? Może jest już za późno. Ale może jednak istnieje jeszcze cień szansy. Człowiek musi sobie tylko zdać sprawę, że miłość życia i miłość śmierci nie są dualizmem zawartym w człowieku, lecz stanowią możliwość jego indywidualnego wyboru. Podejmuje on ten wybór za każdym razem, gdy lekceważy życie i odrzuca je. „Každy akt lekceważenia i odrzucania życia, obojętności dla życia i marnowania go – konkluduje Fromm – jest krokiem w kierunku umiłowania śmierci. Tego wyboru musi człowiek dokonywać w każdej minucie. Nigdy konsekwencje błędnego wyboru nie były tak całkowite i nieodwracalne jak dzisiaj. Nigdy ostrzeżenie Biblii nie było tak znaczące: *„Biorę dziś przeciwko wam na świadków niebo i ziemię, kładę przed wami życie i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo. Wybierajcie więc życie, byście żyli wy i wasze potomstwo”*.

#### Uwagi końcowe

Uważam, że Erich Fromm ma wiele racji. Wszyscy widzimy, jak wzbiera wokół nas i w nas samych agresja, jak bardzo jesteśmy wyprani z uczuć. Myślę, że Fromm ma rację twierdząc, iż człowiek jest stworzeniem z natury dobrym, ale ostatecznie jego charakter zależy od warunków, w jakich przyszło mu żyć. Gdybyśmy nawet rozważali człowieka w kategoriach czysto biologicznych, to przecież zwierzęta nie są tak okrutne, jak człowiek. Tylko człowiek potrafi być bestią dla drugiego człowieka, to tylko człowiekowi może sprawić przyjemność zadawanie bólu innej istocie. Zwierzęta, jeśli zabijają, czynią tak, aby żyć; inne istoty są dla nich pokarmem, bez którego same giną. Jeśli nawet człowiek spotyka się z jakimiś nieuzasadnionymi, jego zdaniem, atakami zwierząt, to zapominamy, że właśnie wsządobyłski człowiek burzy harmonię przyrody. Wdziera się w dobrze zorganizowane życie świata przemocą. Nie potrafi wtopić się w ekosystem i żyć w zgodzie z przyrodą. Kiedy podejmowana jest decyzja o uśpieniu psa, który bez powodu zagryzł człowieka, mało kto zapyta, w jakich warunkach wychowywał się ten pies. Czy w rodzinie, w której występuje wiele agresji, może wychować się normalny czworonóg? Czy taka rodzina może wychować dziecko szanujące życie i potrafiące kochać świat? Uważam, że nie. Wszystkie krzywdy, jakie nam ktokolwiek kiedyś wyrządził, tkwią w nas. Często możemy sobie nawet nie zdawać z tego sprawy, ale to siedzi gdzieś głęboko i może ujawnić się w każdej chwili. Wątpię, żeby zło było prawdziwą naturą człowieka. I więcej, żeby było prawdziwą naturą świata. Myślę, że należy oddzielić tutaj konieczność zdobywania pożywienia od zła wyrządzanego bezpodstawnie.

Zwierzęta zabijają, żeby żyć. Najedzony lew nie zabije antylopy tak sobie, aby popastwić się nad słabszym. Nie czarujemy się, układ pokarmowy człowieka nie jest przystosowany do spożywania wyłącznie roślin. Ludzie powinni jeść mięso, ale czy wszystkie zabite przez nich zwierzęta straciły życie, aby stanowić pokarm dla człowieka?

To człowiek wymyślił polowania dla przyjemności, żeby się sprawdzić, żeby wzbudzić poważanie u innych. Człowiek, który – ze względu na umiejętność myślenia – postawił się wyżej od innych zwierząt. Można by więc dojść do konkluzji, że źródłem zła na świecie jest właśnie człowiek. Tak, ale tego człowieka musiał ktoś wychować i ktoś go tego zła nauczył. Przecież małe dziecko, gdy pozna, co to jest ból, nie zada go drugiej żywej istocie, kiedy się dowie, że ta może cierpieć na równi z nim. Jeśli przyjmiemy, że ludzkość wywodzi się od Adama i Ewy, którzy zostali stworzeni na podobieństwo Boga, to musieli być oni z natury skłonni do dobra.

Dlatego uważam, że nawet gdy rodzice są dobrzy, to i tak zawsze mogą wystąpić okoliczności, przy których wychowywane przez nich dziecko straci pierwotny instynkt dobra i znacznie rozwijać w sobie zło. Myślę, że Fromm dokonał trafnego podziału ludzi na tych, w których przeważa umiłowanie życia, i tych, co bardziej niż życie miłują śmierć. Wystarczy się rozejrzeć. Największy zachwyty w większości ludzi wzbudza śmierć. Szczególnie w czasach nam współczesnych śmierć stała się informacją na sprzedaż, czymś powszechnym, z czym się na co dzień spotykamy w mediach. Żeby być „na czasie”, na początku pozornie, zachwycamy się śmiercią. Szczególnie wyraźne jest to u dzieci, które – aby zaimponować rówieśnikom – opisyją z wypiekami na twarzy krwawe sceny z filmów. Z czasem staje się to normą. Film bez przemocy staje się nudny i nieekscytujący.

A im więcej ludzi chce oglądać takie filmy, tym więcej się ich produkuje. Ludzi podnieca oglądanie śmierci. I okazuje się, że także jej zadawanie. Przykładów nie trzeba specjalnie szukać. Wiele było wojen o wpływy, o ziemię, o złoto. Zawsze znajdowano jakieś szczytne wyjaśnienie dla rzezi, mordów i przemocy. Usprawiedliwia się prześladowania rasowe, wojny domowe i wojny okupacyjne. Gdzie leży powód, dla którego człowiek zaczyna niszczyć i wyzybywać się resztek dobra? Poparł bym tutaj Fromma, twierdząc, że najważniejszą rzeczą kształtującą umiłowanie życia u człowieka jest jego wychowanie. Ludzie planujący poczęcie dziecka często nie zdają sobie sprawy, jaką biorą na siebie odpowiedzialność. Urodzenie dziecka jest niczym w porównaniu z koniecznością późniejszego jego dobrego wychowania. Dziecko potrzebuje miłości i zainteresowania. W dzisiejszym świecie, gdy każdy patrzy na siebie, rodzice zajęci robieniem kariery i zdobywaniem rzeczy są złym przykładem dla dziecka, dla którego także zaczyna się liczyć coraz bardziej posiadanie rzeczy. Przy czym wina nie leży tylko po stronie rodziców. Najgorsze są propagowane przez media wzorce, które nie służą człowiekowi, a koncernom sprzedającym swoje wyroby. Wmawia się ludziom, że są wolni, że są sobą, a z drugiej strony traktuje się ich jak liczby, dzieli na grupy, przypisuje do określonych społeczności. Narzuca się złe schematy postępowania, które niszczą indywidualność. Ludzie, którzy ją stracili, wywołują presję na innych, aby się do nich upodobnili. Byłoby dobrze, gdyby propagowane wzorce wywoływały w nas dobro, rozwijały umiejętność kochania i służenia życiu. Ale, niestety, dla wielu z nas pieniądze i rzeczy materialne są w życiu najważniejsze.

To głównie one stanowią o podziałach. Powodują, że ludzie są zdolni zrobić wszystko, aby je zdobyć. Ci, którym się nie udało, są sfrustrowani i zagubieni. Ich bezsilność przekształca się w nienawiść do tych, którym się powiodło. Dzieci wychowujące się w takim domu już od małego uczą się złości i nienawiści do innych i do samych siebie. Nie oznacza to, oczywiście, że w biednym domu nie można stworzyć atmosfery umiłowania życia oraz, że dostatek taką atmosferę gwarantuje. Ludzie zajęci zdobywaniem coraz większych ilości rzeczy i pieniędzy mniej czasu poświęcają swoim dzieciom. Brak kontaktu wynagradzają rzeczami, które go, niestety, nie zastąpią. Starają się wpoić dzieciom wartości, których sami nie reprezentują. Zapominają, że najważniejszy jest przykład. Dzieci doskonale widzą ich zakłamanie i same buntują się przeciw przestrzeganiu reguł, których nie szanują ich rodzice. Nie bez znaczenia jest także wpływ środowiska, które – niestety – hołduje aksjologicznemu materializmowi, preferując dobra materialne nad duchowe.

Można próbować usprawiedliwiać taką postawę tym, że mamy schyłek epoki, któremu towarzyszą nastroje niepewności i lęku przed następnym stu-, lub tysiącleciem. Ale jeśli nie

uświadomimy sobie, ile w nas zła i śmierci, to XXI wiek nie będzie wcale lepszy.

Nie zgodziłbym się natomiast z wątpliwościami Fromma, co do jego własnej teorii. Uważam, że wszelka bezsensowna przemoc jest przejawem nekrofilii. Samo traktowanie innego człowieka jako istoty niższej z powodu różnicy rasy lub wyznania nie może być nigdy traktowane jako wyraz umiłowania życia. Dotyczy to również znęcania się nad wszelkimi żywymi istotami, bez względu na to, czy jest to spowodowane „poznawczą ciekawością”, czy uczuciem wrogości do obcych.

Zdaję sobie sprawę, że moje poglądy mogą wydać się komuś kontrowersyjne, ale takie właśnie myśli wywołała we mnie lektura Wojny w człowieku E. Fromma. I chyba taka też powinna być rola filozofii – zachęcać do myślenia i do wyciągania własnych wniosków.

*Bogusław Sobotka  
Student Wydziału Elektrotechniki,  
Telekomunikacji i Informatyki*

## Studia wyższe drugiego stopnia (kurs magisterski A.D. 1952)

Przed zakończeniem kursu inżynierskiego zostaliśmy poinformowani przez dziekanat o zakwalifikowaniu nas na kurs magisterski. Na pierwszym miejscu był wymieniony Zbyszek, a ja, jak do tej pory sądzę, niezasłużenie, na drugim. Niezasłużenie dlatego, że przede mną, a właściwie to przed nami, powinien być znajdować się Czesław, ale jego pozycję obniżono, mimo bardzo dobrych wyników w nauce, bo nie należał do ZMP ani do żadnej innej organizacji społecznej. A to także brano pod uwagę.

Nie od razu byłem zdecydowany co do dalszych studiów. W stoczni i w innych okrętowych instytucjach istniało olbrzymie zapotrzebowanie na inżynierów budowy okrętów. Po dyskusji z kolegami i w porozumieniu z rodzicami postanowiłem się jednak dalej uczyć. Taką samą decyzję podjął mój brat.

W pierwszym kwartale 1952 roku wraz ze mną rozpoczęło naukę dwunastu studentów. Wszyscy z właśnie ukończonego wspólnie kursu inżynierskiego. Później doszło jeszcze kilku innych ze starszych roczników, tak że w 1954 roku dyplom otrzymało siedemnaście osób.

Studia magisterskie różniły się od inżynierskich przede wszystkim podziałem na bardzo wąskie specjalności. Tak na przykład na kierunku budowy maszyn okrętowych wydzielono siłownie, urządzenia pomocnicze, turbiny, kotły i chłodnictwo. Odpowiednio podzielono również kierunek budowy kadłubów.

Na sekcjach, odpowiadających poszczególnym specjalnościom, studiowało od jednego do trzech studentów. Takie rozdrobienie zmieniało istotnie organizację studiów w stosunku do tej, jaka była na kursie inżynierskim. Duża część wykładów odbywała się po prostu w gabinetach profesorów, a inne zajęcia były w małych salach lub kreślarniach. Tylko wykłady z dyscyplin bardziej ogólnych, takich jak: matematyka, mechanika czy filozofia marksistowska, prowadzono dla całego roku lub nawet dla kilku różnych lat studiów. Wspólne wykłady łączyły nas i przypominały, że tworzymy jeden wydział. Natomiast specjalistyczne zajęcia w sekcjach sprzyjały lepszemu poznaniu się, zacieśnieniu stosunków towarzyskich i przyjaźni.

Małe liczebne grupy na wykładach pozwalały także profesorom lepiej nas poznać i nawiązać bardziej bezpośredni kontakt. W czasie wykładu można było zadawać pytania, a nawet wdać się w dyskusję.

Powstawały także dość nietypowe sytuacje. Tak na przykład do jedynego w sekcji studenta wykładowca przyjeżdżał co dwa tygodnie aż ze Szczecina. Odbywał w ciągu dnia zajęcia dwutygodniowe i odjeżdżał. Kiedyś ten jego student zachorował i nie mógł przyjść na wykład. Wykładowca wystosował więc pismo do dziekanatu, że zajęcia nie mogły się odbyć, bo nie przyszedł ani jeden student.

Podobnie jak na kursie inżynierskim chodziliśmy na wykłady i ćwiczenia, zaliczaliśmy kolokwia i zdawaliśmy egzaminy. W ostatnim roku studiów dużo czasu zajmowało nam wykonanie projektu przejściowego i dyplomowego. Na projekt przejściowy przeznaczono w programie 15 godzin tygodniowo na ogólną liczbę 44 godzin. Na projekt dyplomowy aż 26 na 39 godzin tygodniowo. Projekty te wymagały wykonania wielu obliczeń, rysunków i kreśleń. Liczyło się ręcznie lub na suwaku logarytmicznym, naszym podstawowym narzędziem pracy, będącym wówczas wręcz symbolem studenta i inżyniera. Część opisową projektu oddawało się w formie czystego rękopisu (w ołówku).

Wspomnę tu przykładowo kolokwium z matematyki, którego wynik uważam za jeden z największych moich sukcesów odniesionych na studiach wyższych.

Kolokwium odbyło się w dość dużej sali, gdzie przy stolikach rozmieszczeni byli delikwenci. Było nas, jak pamiętam, 56. Pan adiunkt podyktował trzy zadania i zajęliśmy się ich rozwiązywaniem. Przeczytałem jeszcze raz podyktowaną treść zadań i ogarnęła mnie panika. Przecież niemożliwe jest ich rozwiązanie w ciągu 90 minut. Wprawdzie wiedziałem, przynajmniej tak mi się wydawało, jak je rozwiązać, ale oceniłem, że potrzebuję na to około sześciu godzin. Zacząłem podejrzewać jakiś kruczek, ale jaki, tego nie udało mi się wykryć. A tu czas mijał. Rozpaczliwie rozpocząłem pierwsze zadanie, ale do jego rozwiązania było jeszcze daleko. Rzuciłem okiem na drugie:

sprawa wydała mi się jeszcze gorsza. Zaczęłam robić trzecie, ale po chwili je przerwałam i wróciłam do pierwszego. Nawet udało mi się jakoś podciągnąć je do przodu. A tu nieubłaganie zbliżał się czas oddania prac. Szybko więc napisałam, co trzeba dalej zrobić z zadaniem pierwszym, a następnie wziąłem się do zadania drugiego. Zdażyłem jednak tylko napisać wzór wyjściowy i kilka wzorów pomocniczych. Przy trzecim zadaniu dopisałem sposób, w jaki je należy dalej rozwiązywać. Czas kolokwium upłynął. Oddaliśmy prace. Wszyscy mieliśmy kiepskie nastroje, nikt nie był zadowolony ze swojej pracy. Ja w ogóle się nie odzywałem. Też byłem w podłym nastroju. Nie zakończyłem przecież żadnego zadania.

Po kilku dniach na korytarzu wywieszono wyniki: 43 oceny niedostateczne, 13 dostatecznych, ani jednej oceny dobrej i tylko jedna bardzo dobra, którą otrzymałem ja. Było to tak nieoczekiwane, że zrobiło mi się słabo – aż musiałem się oprzeć o ścianę.

Wspominam także do dziś wykłady z wytrzymałości wałów okrętowych. Były prowadzone przez jeden semestr, tylko dla naszej trzyosobowej sekcji, oparte na treści jakiegoś rosyjskiego opracowania. W końcu semestru prowadzący wykłady adiunkt zwrócił się do nas w ten sposób:

– Panowie! Znamy się już tak dobrze, że chyba nie potrzeba przeprowadzać formalnego egzaminu. Umówmy się tak, że pan Zbyszek przygotowuje i zreferuje na następnym wykładzie pierwszą część podręcznika, pan Władysław drugą..., a mnie wyznaczył trzecią, końcową część. I mówił dalej:

– ... a kto nie będzie mógł, to przyjdzie na formalny egzamin w terminie, jaki mu będzie odpowiadał. No co? Zgadza się?

Oczywiście zgodziliśmy się. Propozycja była przecież dla nas bardzo korzystna.

Zbliżał się wyznaczony dzień. Znów we trzech byliśmy w katedrze. Już siedząc na krześle zastanawiałem się, czy przyznać się od razu, że nie zdażyłem się przygotować, czy dopiero później, kiedy przyjdzie na mnie kolej. Nie zdażyłem podjąć decyzji, gdy wykładowca powiedział do Zbyszka: „No to proszę referować!” Zbyszek był jak zwykle dobrze przygotowany i płynnie omówił swoją część. Widać było, że adiunkt jest z jego wypowiedzi zadowolony. Gdy Zbyszek skończył, odezwał

się do nas: „Ja już panów dobrze poznałem. Postawię więc panu Zbyszкови ocenę bardzo dobrą, a obu pozostałym panom ocenę dobrą. Zgadza się?” Oczywiście zgodziliśmy się. Ja wprawdzie z nieczystym sumieniem, ale za to solennie sobie przyrzekając, że opanuję materiał na cztery, tyle że później. Nie dotrzymałem słowa i to mnie gnębi do dziś. Nawet na emeryturze.

Na pamiątkę została mi broszurka wydana drukiem z dedykacją pana adiunkta: „Sz. Koledze...ofiarowane przez autora. (–), Gdańsk, dn. 19 I 53”.

Wiele innych przedmiotów zaliczyłem lub zdałem w pełni, jak mniemam, zasłużenie z wynikiem „dobry” lub „bardzo dobry”. Na ogół lepiej, w stosunku do kolegów, wypadałem w przedmiotach teoretycznych. Wierzyłem w siebie, że nawet jeżeli czegoś nie będę umiał, to coś tam wykombinuję lub wymyślę. Nie bałem się egzaminów i kolokwium. Traktowałem je jak rebusy do rozwiązania. Z pewnością ułatwiała mi to naukę.

Studia skończyłem w terminie. Wszystkie rejestracje z semestru na semestr, jako jeden z trzech czy czterech kolegów, otrzymałem bezwarunkowo.

A po zdaniu egzaminu końcowego w indeksie znalazł się wpis: „Egzamin dyplomowy w zakresie studium drugiego stopnia złożony z wynikiem ogólnym dobrym” (23 lutego 1954 roku). W dyplomie ukończenia studiów wyższych stopnia drugiego napisano: „... uzyskał tytuł inżyniera magistra budownictwa okrętowego (–) Rektor (–) Dziekan. Gdańsk dnia 5 kwietnia 1954 roku”.

W ten sposób skończyły się studia, a wkrótce zaczęła się praca zawodowa. Miałem wówczas dwadzieścia sześć lat.

Studia były trudne i ukończenie ich wymagało niewątpliwie olbrzymiego wysiłku, którego skutki odczuwałem w postaci rozwiniętej nerwicy serca. Z drugiej jednak strony dały mi one wiele satysfakcji, a przyniosły ją mniejsze i większe sukcesy w czasie studiów i sam fakt ich ukończenia z wynikiem dobrym, no i w terminie.

*Tadeusz Witalewski  
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

## Magister (cd.)

### WYKŁADY ADIUNKTÓW

Nie liczyłem lekcji, pogadanek, odczytów, prelekcji, wykładów, których – do dnia dzisiejszego – wysłuchałem. Słuchałem wykładów jasnych, zrozumiałych i mętnych, obszernych i wąziutko ściśniętych, logicznych i rozmazanych, ważnych, nieważnych... Owe wykłady miały wymazać z mojej wyobraźni zdroworozsądkowy obraz otaczającej mnie rzeczywistości.

Wykładowca kreśli zwykle fragment obrazu w granicach swojej specjalności. Wypełnia przydzielone mu polećkami detalami, detaliczkami... Mnie fascynuje cały obraz. Niemal bezwstydnie podglądam „mistrzów” słowa w akcji.

Na przykład: Za oknami sali wykładowej słoneczne popołudnie. Adiunkt prowadzi właśnie zawily wywód na temat wykresu Gantta. Wykreślił na tablicy kilka linii poziomych, następnie pionowych. Cofnął się o krok, po czym stał dwie linie poziome, ponieważ zjechały w prawym narożu zbyt ukośnie w dół. Ścierając pochylone li-



nie gąbką nasyconą zbyt obficie wodą, spowodował zamazanie dwóch dalszych linii poziomych i jednej pionowej. Gdy usiłował szmatką wysuszyć plamkę po mokrej gąbce, rozmazał rysunek zupełnie. Wreszcie po kilku podejściach uporał się z kapryśnymi liniami.

Po wykonaniu odpowiedniej siatki adiunkt przystąpił do zamazywania kolorowymi kredkami niewielkich kwadracików powstałych z przecięcia linii poziomych i pionowych. Budował w ten sposób różnobarwne słupki i schodki. Z kolorami łączył przyjęte dowolnie cyfry. Cyfry sumował, mnożył, dzielił, obliczał procenty wykonanych planów produkcyjnych. Głośno akcentował słowa: zakładamy, przyjmujemy, prowadzimy, wnioskujemy...

Moja wyobraźnia odrywała się do rysującego na tablicy adiunkta, od jego słów, od treści wywodu. Powędrowała swoimi ścieżkami. Usiłowałem omawiany przez adiunkta temat ująć

inaczej. Przyjąłem inne założenia wyjściowe. Przecież te przyjęte przez adiunkta nie muszą być wcale najdoskonalszymi z możliwych, ba, nawet doskonałymi.

W wyobraźni podjąłem z wykładowcą dyskusję. Oto jej meandry: – Rozwijany problem stanowi kwestią godną uwagi, jednak tylko w pewnym obszarze działań. Domyślam się innych obszarów. W tych innych, mniej skłóconych z naturą człowieka, można by posługiwać się innymi rozwiązaniami. Myślę o rozwiązaniach najbardziej uniwersalnych i niezbędnych na obecnym etapie rozwoju.

Prawdopodobna riposta wykładowcy:

– Przypominam panu, że w tej chwili uczestniczy pan w wykładzie na temat „Organizacja i planowanie w przemyśle”. Mam prawo sądzić, słuchając pana wywodu, że pomylił pan planowanie w przemyśle z filozofią. Poza tym pragnę zauważyć, że pana wątpliwości wypływają z braku podstawowego rozeznania w omawianym przedmiocie. To co panom przekazuję – tu adiunkt podnosi głos – stanowi najnowsze osiągnięcie wyniku z wieloletnich badań problemów związanych z organizacją i planowaniem w przemyśle socjalistycznym.

Wyobraźnię przywołuję na miejsce adiunkta profesora Einsteina: – Panie profesorze, mam wątpliwości.

– Dobrze, że ktoś jeszcze wątpi. Słucham pana.

– Czy jest pan pewny, że to, co w tej chwili wykładu, stanowi jedyną słuszną...?

– Przez chwilę tak nie sądzę – przerywa profesor Einstein. – To co w tej chwili panom wyluszczam, jest tylko niedoskonałą propozycją na doraźny użytek. Nie jesteśmy w stanie – na tym etapie rozwoju – przejść od problemu do problemu bez zaśmiania wyobraźni mało przydatnymi drobiazgami. Jeśli pan – zwraca się bezpośrednio do mnie – prócz wątpliwości ma chociaż zarys jakiejś ciekawszej koncepcji, chętnie tego wysłucham.

Problem adiunkta. Co przyjąć, jeżeli wszystko jest wątpliwe? Adiunkt pragnie widzieć problemy świata odpowiednio poukładane. Poukładany, poznaczony odpowiednimi kolorami świat jest łatwiejszy do zrozumienia, można się z niego łatwiej rozliczyć. Obszary wyraźnie oddzielone od siebie kolorami orientują szybko i bezbłędnie o miejscu, w którym się tkwi.

Tymczasem adiunkt cyrklem wykreślił kółko. Kółko podzielił na kilka wycinków różnej wielkości. Następnie w wycinku kół-

ka wpisał cyfry ilustrujące obliczone poprzednio procenty, aby myśl lepiej utwalić i wyraźniej zaakcentować, co do czego należy, zamalował wycinki różnymi kolorami.

Do sali wykładowej, przez uchylone okno, słońce wlewało strumienie światła. Zanotowałem w notesiku: „Płyną z kosmosu strugi energii. Jeszcze mało wykorzystane. Trafiają łagodnie w ściany budynków, opalają twarze, dotykają pieszczotliwie skóry. Stanę w oslepiającej strudze światła, rozwinę słoneczne żagle, rozpocznę dalekie szybowanie. Będę mógł lecieć w przestrzeni jak babie lato i jak pocisk. Do kierowania lotem wystarczy myśl. Mój statek – dywan latający – osiadzie na zielonej łące, gdzie mleczko, maki, łany zboża zaniebieszczono modrakami. I wtedy zapytam – nie wiem jeszcze kogo – ale zapytam: Dlaczego trawa jest zielona? Mak czerwony? Zapytam ptaka, dokąd leci? Napotkany samotny grób pod lasem, z hełmem zarzewiałym na drewnianym krzyżu, potwierdzi moje serdeczne wątpliwości. Pozwolę płynąć strumieniowi myśli. Z zawitych zdań wykładów powybijam słowa najprostsze, cegielki budowli mojej rzeczywistości: słońce, czas, życie, szczęście, miłość, myśl, pocisk, grób, rdza... I jeszcze setki słów, cały gmach zbudowany ze słów-cegiełek. Na końcu wykrzyknę w pustkę pola słowo: Wątpię! Wątpię... ątpię... pię... – odpowie echem daleki las”.

Adiunkt narysował następny wykres: duże prostokąty dzielił na mniejsze, w mniejsze wpisywał cyfry symbolizujące „efekty produkcyjne gospodarki uspołecznionej”.

TOWARZYSZ STUDENT MUZIAK

W gromadzie studentów, Panie, w licznych zbiorze różnorodnych mentalności, najdokuczliwszym „rodzajem” studenta jest „towarzysz student”. Dopust Boży.

Towarzysz student Muziak był niemal klinicznym przykładem owego ideologicznego idiotyzmu, schorzenia, jakim nasiąkały – na szczęście marginesowo – wyższe uczelnie. Towarzysze studenci są nietykalni, ponieważ prezentują „jedyną słuszną linię” rządzącej partii. To narybek przyszłej awangardy. Nikt rozsądny nie podejmie dyskusji z towarzyszem studentem. Nie wyobrażam sobie polemiki, w której usiłowałbym wypunktować błędy w rozumowaniu towarzysza. Cdn.

*Edward Kaczmarek  
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

## Zima w Sienie trwa 11 miesięcy

Połowa czerwca 1996 roku. Upał. Żar bez opamiętania leje się z nieba. Opuszczam dworzec autobusowy w Sienie – przed chwilą przyjechałam z Florencji. Bagaż mam ciężki, jestem pierwszy raz we Włoszech, nie znam włoskiego, nie znam drogi do akademika, gdzie mam nocować, informacja na dworcu nie działa po angielsku – jednym słowem: pełnia szczęścia! Jedynym plusem jest to, że z dworca widać panoramę Sieny i jej słynne czerwone dachy. Po dokładnej analizie planu i próbach dopasowania go do rzeczywistości, dochodzę do wniosku, że muszę się dostać na drugą stronę miasta. Oczywiście, jak pech, to pech: dworzec na jednym wzgórzu, a mój akademik za drugim. Siena leży w Rudawach Toskańskich – nie są to wysokie góry, ale gdy w pełnym słońcu i z ciężkim bagażem usiłuje się pokonać ponad sto kamiennych stopni w dół, a zaraz potem w górę, to wydaje się, że to niebosiężne szczyty. Po 10 minutach jestem kompletnie mokra, ale jakoś dziwnie humor mi dopisuje. Przede wszystkim idę po absolutnie autentycznych średniowiecznych kamieniach, a nie po prozaicznym chodniku

z betonowych płyt. Podziwiam zabudowę centrum: kilkunadcygnacyjne ceglane budynki, zbudowane najwyraźniej bez żadnego planu, nachylają i tulą się do siebie, pozostawiając wąskie i kręte szpary, które tutaj uchodzą za ulice. Nieliczne poszerzenia zajmują stoiska z najróżniejszymi różnościami, maleńkie kawiarniane ogródki i parkujące samochody! Jak one tu wjechały? I oczywiście, ulice są pełne ludzi i przepychających się między nimi skuterów. I jeszcze wszyscy mówią jednocześnie! Po lekturze przewodnika wiedziałam, że Siena to wyjątkowe miasto, ale nie spodziewałam się, że jest aż tak bardzo wyjątkowe!

Siena leży w Środkowych Włoszech, w regionie Toskanii, 48 km na południe od Florencji. Położenie geograficzne zawazyło na historii miasta. Początkowo była to osada etruska, w I w. p.n.e. kolonia rzymska Sena Julia. W 678 r. Siena została podbita przez Longobardów, w 774 r. – przez Franków. W XII w. miasto było samodzielną republiką (rządy sprawowała Rada Dziewięciu), rywalizującą o wpływy z Florencją (w 1260 r. sie-





neńczycy odnieśli druzgoczące zwycięstwo nad armią Florencji w bitwie pod Montaperti). A jednak wojnę o dominację w Toskanii przegrali. Ekspansję Sieny przerwała szalejąca w 1348 roku we Włoszech epidemia dżumy – miasto straciło ponad połowę swoich obywateli. Na przełomie XV i XVI w. Pandolfo Petrucci usiłował przywrócić miastu dawną świetność. Siena wiele mu zawdzięcza – wprawdzie sprawował rządy absolutne (signoria) i raczej krwawe, ale zreformował system monetarny, ukrocił korupcję w administracji i był mecenasem artystów. W 1569 r. Siena została włączona do Wielkiego Księstwa Toskanii zarządzanego przez Medyceuszy, a w 1861 r., po wygaśnięciu tej dynastii, wchłonięta przez Królestwo Włoskie.

W XIII wieku Siena była u szczytu swej potęgi. Wtedy powstał uniwersytet (1240), ratusz (Palazzo Pubblico) i słynna sienieńska Katedra (Duomo) pod wezwaniem Panny Marii (początek budowy – 1229). Twórcą fasady z wielką rozetą i smukłymi wieżami po bokach był Giovanni Pisano. W bardzo charakterystyczny sposób wykorzystał różnobarwne marmury tokańskie: ściany świątyni wykładane są na przemian pasami czarnego i białego kamienia, wewnątrz znajduje się wspaniała wzorzysta posadzka. W początkach XIV w. zamierzano rozbudować Duomo, by prześcignąć ogromem katedrę we Florencji. Ze względu na epidemii dżumy, błędy konstrukcyjne oraz klęski w kolejnych wojnach z Florencją poniechano tego zamiaru.

Ubocznym skutkiem epidemii było zachowanie średnio-wiecznego charakteru centrum miasta, które dziś wpisane jest na listę światowego dziedzictwa kulturalnego UNESCO. Zachowane w całości mury obronne z potężnymi bramami ota-



*Chrystus w contradzie*

czają płataninę wąskich uliczek i zaułków, które wijąc się niemal we wszystkich kierunkach, rozwidlając i łącząc niespodziewanie, prowadzą na Piazza del Campo – wielki plac w kształcie muszli, na którym skupiało się życie sienieńczyków. I właśnie na tym placu dwa razy w roku ma miejsce wydarzenie, którego nie można zobaczyć w żadnym innym mieście na świecie – PALIO.

Palio to konny wyścig. Palio to sposób życia. Dla rodowitego sienieńczyka jedynie Palio ma w życiu sens. To nie jest impreza organizowana dla turystów, to nie jest widowisko reżyserowane dla potrzeb telewizji. Dla mieszkańców Sieny jedynie dwie daty w roku są ważne: 2 lipca i 16 sierpnia. W Sienie zima zaczyna się 17 sierpnia i trwa 11 miesięcy.

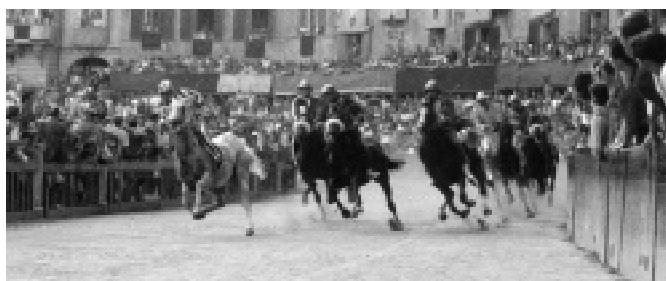
Korzenie Palio sięgają XI wieku, kiedy w Sienie wyodrębniły się dzielnice (contrady). Ich liczba z biegiem lat zmieniała się – w XIII wieku było ich 80, po epidemii pozostały 42. Początkowo tworzyli je towarzysze broni, którzy w licznych wojnach służyli w tym samym oddziale, a w czasach pokoju trzymali się razem i, prawdopodobnie, wspominali własne wyczy-



*Contrada Gąsienicy w czasie parady otwierającej Palio*

ny. Dziś przynależność do contrady to znacznie więcej niż zamieszkiwanie w określonej dzielnicy, to przynależność do wspólnoty mającej własne korzenie, własne terytorium, własne symbole i własne prawa. Palio to zewnętrzny przejaw rywalizacji między contradami, rodzaj gier wojennych, pokaz siły, wielkości i dumy. Udział w Palio wymaga zaangażowania mnóstwa pracy, środków finansowych i talentów dyplomatycznych. By zyskać przewagę nad przeciwnikami, contrady tworzą sojusze, zrywają układy, odwracają przymierza, stosują wyrafinowane podstępny, intrygują, oszukują i kłamią, a jednak nigdy nie postrzegają przeciwników jako wrogów. Celem nigdy nie jest pogiębienie przeciwnika. Celem jest wygranie z najlepszymi. Jedyną nagrodą dla contrady, poza satysfakcją, podziwem innych i zapisem w kronikach, jest ręcznie malowany - przez znanych artystów - proporzec (Palio), który zostanie zawieszony we własnym kościele, tak jak poprzednie trofea. Bo wszystko odbywa się na chwałę Najświętszej Marii Panny, patronki miasta.

Obecnie w Sienie jest 17 contrad: Orła, Ślimaka, Fali, Pantery, Lasu, Żółwia, Sowy, Jednorożca, Muszli, Wieży, Byka, Gąsienicy, Smoka, Żyrafy, Jeżozwierza, Wilczycy i Gęsi. Każda z nich ma swoje barwy i sztandary (w czasie parad występu-



Wyścig

ją we własnoręcznie przygotowywanych strojach z epoki). W każdej dzielnicy znajduje się fontanna z symbolicznym wyobrażeniem patrona contrady. I tam też dokonuje się przyjęcia do wspólnoty nowych członków: obrzęd nieco przypomina chrzest.

Trudno zdecydować, kiedy rozpoczyna się sezon Palio. Dla turystów – w dzień wyścigu, dla najbardziej fanatycznych zwolenników tradycji – 17 sierpnia, kiedy tegoroczne Palio jest zakończone i trzeba natychmiast zacząć przygotowania do „jutra”. Od maja można w Sienie podziwiać sesje treningowe poszczególnych contrad, jedynie konie i dżokeje trenują poza miastem. Wszyscy ćwiczą, tak by w czasie Palio wypaść jak najlepiej. Największy zachwyt turystów budzą mężczyźni niosący sztandary: powiewają nimi w skomplikowanym tańcu, wyrzucając je wysoko w powietrze i łapią tuż nad ziemią, w ostatniej chwili. Podobno turyści zakładają się o to, kto w czasie parady upuści sztandar, ale są bez szans, bo to się po prostu nie zdarza.

W wyścigu koń jest najważniejszy – wierzchowce są losowane na cztery dni przed dniem wyścigu (tzw. tratta). Większość jeźdźców pochodzi spoza Sieny – wielu znanych dżokejów przyjeżdża w nadziei, że zostaną wynajęci przez contrady do udziału w gonitwie. Możliwości zakulisowych rozgrywek są ogromne. Ponieważ najróżniejsze działania nie fair są na porządku dziennym, wielokrotnie zdarzało się, że wybrany jeździec nie był w stanie wziąć udziału w wyścigu, np. z powodu ostrej biegunki, oczywiście spowodowanej przez przeciwną contradę. Ale i tak koń jest najważniejszy! Jeśli w czasie gonitwy jeździec spadnie, to – zgodnie z regułami – samotnie biegnący koń może wygrać wyścig.

Ze zgłoszonych do Palio końskich kandydatów wybiera się po serii testów i prób – 10 koni. Ponieważ contrad jest 17, zrozumiałe napięcie towarzyszy publicznemu losowaniu uczestników. Na Piazza del Campo, specjalnie przygotowanym do wyścigu, gromadzą się mieszkańcy i turyści. Przed ratuszem kapitanowie contrad w strojach galowych i wyselekcjonowane konie oczekują na wynik losowania. Napięcie rośnie. Oczy wszystkich skierowane są na dwie urny – w jednej są numery koni, w drugiej – symbole contrad. Burmistrz miasta osobiście czuwa nad poprawnością procedury. I wreszcie wszystko jest jasne. Wylosowane contrady natychmiast przejmują opiekę nad końmi, a sztaby strategów rozpoczynają tajemne narady. Wygrać czy skoncentrować się jedynie na przeszkadzaniu rywalom? Wszystko zależy od klasy konia i zawartych sojuszy. Wylosowanie dobrego konia prowokuje wręcz do wyboru strategii zwycięstwa. Słaby koń, a tym bardziej pech w losowaniu, wykluczający z tegorocznego wyścigu, nie stwarza takich perspektyw – tym contradam pozostają dotychczas zawarte sojusze oraz tworzenie nowych, doraźnych przymierzy, których jedynym celem jest powstrzymanie rywala od wygranej. Wszelkimi dostępnymi sposobami! Niestety, ta część Palio jest kompletnie niedostępna dla turystów. I tylko wieczorami mają oni

okazję obserwować na miejskich placach oficjalne obiady contrad.

W dzień wyścigu, o 10 rano contrady dokonują oficjalnego wyboru dżokejów. O 3 po południu ma miejsce zadziwiająca ceremonia: konie wprowadzane są do kościołów contrad i otrzymują tam błogosławieństwo. Świadcami są wszyscy mieszkańcy, asystujący tym kolegom i sąsiadom, którzy dostąpili zaszczytu oficjalnego reprezentowania wspólnoty. I jeszcze ostatnia tajemna narada i już wszyscy wiedzą, co do nich należy. I rytualne: „Idź i wracaj zwycięzcą”.

A na Campo już od rana gromadzą się widzowie. Miejsca stojące wewnątrz toru są darmowe, za miejsca w oknach i na balkonach pałaców trzeba słono płacić i rezerwować je z dużym, czasem nawet rocznym, wyprzedzeniem. Nadzieje widzów są ogromne, a atmosfera wyczekiwania niemal namacalna. O 4 po południu słychać werble – to spod Duomo wyrusza parada. Widowisko jest niezwykle malownicze – orszak otwiera sześciu Woźnych niosących insygnia władzy Gminy oraz Chorąży ze sztandarem Sieny. Za trębaczami i orkiestrą Pałacu chorążowie Miast, Podestatów, Ziem i Zamków, które ongiś wchodziły w skład Republiki. Za nimi idą Trzej Zwierzchnicy Urzędu Kupiectwa oraz przedstawiciele architektów, rzeźbiarzy i malarzy. Dalej Starosta Ludu i Centurioni trzech okręgów administracyjnych miasta. Po nich świty 10 contrad biorących udział w wyścigu, każda złożona z dobosza, 2 giermków, komendanta, 4 paziów, chorążego, jeździec na koniu paradnym i „barbarzyńcy”, który prowadzi konia wyścigowego. Za świtami contrad nie biorących udziału w wyścigu i Starostą Sądowym toczy się Wóz Triumfalny z Palio – nagrodą dla zwycięskiej contrady. W słońcu migoczą proporce isztandary, lśnią historyczne stroje. Parada okrąży Campo. Błyskają flesze aparatów fotograficznych, warczą kamery. A oni idą w takt werbli, ale nie uśmiechają się zalotnie do kamer – sprawiają wrażenie, jakby wcale ich nie widzieli. Na wielu twarzach maluje się duma. To jest ich dzień. To dlatego tygodniami ćwiczyli. Przechodzą powoli, bez pośpiechu. Kroczą dostojnie – tak jak ich przodkowie w czasach świetności republiki.

A jednak czas płynie nieubłaganie. Wóz Triumfalny opuszcza Campo. Jeszcze tylko ostatnia kosmetyka toru i... Gonitwa (trzykrotne okrążenie placu) rozpoczyna się o 7 wieczorem. To moment kulminacyjny Palio. Na tę chwilę oczekiwali wszyscy. W miejscu startu nie ma żadnej maszyny startowej – konie wychodzą między dwie liny rozpięte w poprzek toru, nerwowo przebiegają nogami, dżokeje się niecierpliwią. Nie ma strzału startera – w momencie, gdy ostatni koń znajdzie się w strefie startowej, liny opadają i wyścig się zaczyna.

Gonitwa trwa 75 sekund. Tylko 75 sekund nadziei. Aż 75 sekund nieustannego dopingiu i entuzjazmu widzów. I nagle jest po wszystkim. Zwycięzcy świętują sukces, przy dźwiękach bijących dzwonów obnoszą Palio ulicami miasta, przegrani snują plany na przyszłość. Zwycięska contrada po odśpiewaniu Te Deum zasiada do „Wieczery Zwycięstwa” na placu przed Duomo. Och, jest jeszcze mnóstwo innych uroczystości, ale tak naprawdę 17 sierpnia w Sienie zaczyna się zima.

Beata Kajtanowska  
Dział Organizacyjno-Prawny